

01/07

"WAJDA UCIŚNIONY ALBO PO DRUGIEJ STRONIE LUSTRA"

Lada dzień na ekrany kin w całej Polsce wejdzie długo oczekiwany film pana Wajdy pod wszystko mówiącym tytułem "Katyń". Filmu nie widziałem gdyż nie przyszło mi być akredytowanym dziennikarzem na przedpremierowy pokaz. Przypuszczam jednakowoż, że będzie patriotycznie, Bogoojczyźniano, oby tylko nie moherowo, chociaż kto wie? W kraju posypią się pewnie wszelkie, możliwe, polskie, filmowe nagrody: orły, lwy, kaczki, gęsi, kury, i cholera wie jakie inne jeszcze poczwary. A i za granicą powinno się udać, może festiwal w Moskwie? Ale to raczej mało prawdopodobne, gdyż strona rosyjska po dziś dzień napotyka spore kłopoty z udostępnieniem dokumentów tej potwornej zbrodni dotyczących, lecz Berlinale? Tam pewnie będzie okazja, w końcu to nie kto inny ale właśnie Niemcy jako pierwsi powiadomili świat o dziele sowieckich oprawców. Swoją drogą jak to się dzieje, że tyle miejsc, które przyszło nam znać z kart historii nosi jakże adekwatne nazwy co do powodu który je unieśmiertelnił. "Katyń" na ten przykład. Słowo natychmiast kojarzące się z katem, albo czy można było wymyślić bardziej waleczny, męski, niepokonany wyraz jak "Grunwald"? Raczej nie. Przecież ta jedna z największych bitew średniowiecza mogła równie dobrze toczyć się pod... bo ja wiem..Pierdziszowem (przepraszam za wyrażenie) Anglicy mają swoje pięknie brzmiące Waterloo a my mamy swój Grunwald i nikt nam go nie odbierze. No ale dość Walenty na bok sentymenty jak mawiał w pewnym polskim filmie pewien polski były już niestety satyryk. Otóż taki pan Andrzej Wajda. Zawodowiec to niebywały, podczas zdjęć do "Popiołów" na podstawie Żeromskiego, zrzucano w przepaść żywego konia. Artysta miał się ponoć potem tłumaczyć, że zwierzę i tak było przeznaczone na rzeź. Było czy nie było, pan Wajda okazał się być z tego tytułu po stokroć marnym reżyserem, gdyż film w swoim sednie zakłada ILUZJĘ, udaje rzeczywistość. Na tym przecież polega warsztat kina. No ale cóż, Wajdzie było wolno. On mógł sobie pozwolić na reżyserkie wagary i raczej nie było nikogo kto miałby odwagę wpisać uwagę do dzienniczka. Później było na szczęście już dużo lepiej: "Ziemia obiecana, Wesele, Brzezina, Człowiek z marmuru to rzeczy ze wszech miar wybitne. Zasłużenie dumnie pnące się w górę poprzez kolejne pokolenia kinomanów. Niestety, ich twórca od pewnego czasu, dokładnie od czasu politycznego przełomu nieustannie karleje. A Wajda bowiem zapomniał o wagarach, schował głęboko w szafie swój czysty mundurek i w którymś z wywiadów wyznał, że gnębiła go komuna. Kneblowała i żyć twórczo nie dawała. A tych kilkadziesiąt filmów? "A to z nudów, Wysoki Sądzie". Wajda bowiem nieustannie cierpi, że żadna z jego prac nie okazała się być tkzw. półkownikiem, wszystkie jakoś, psia jucha, trafiały we właściwy czas, i władza i społeczeństwo chciały je, cholera, oglądać. Co zrobić? Ot, wicie, rozumiecie, naród taki. Andrzej Wajda zdaje się nie wiedzieć, że niemożliwością było istnieć jako narodowy artysta i jednocześnie dumnie wznosić solidarnościowy sztandar. Zawsze jedno z dwojga, nigdy jedno i drugie. Byli, są, i będą w kraju filmowcy, którzy od samego początku brali się za bary z systemem. To Kijowski, Holland, Królikiewicz, Kieślowski. Byli też tacy, którzy wyznawali niejako filozofię środka. Ani z nich decydeńci ani aparaczczyki. To Zanussi, Piwowarski, Rybkowski. Są wreszcie tacy, którzy (zawodowo) strojąc się w cudze szatki, udają kogoś innego niż naprawdę są, i tylko inni widzą, że "król jest nagi", to Andrzej Wajda. Przy okazji, jest pośród amerykańskich producentów osoba o nazwisku Andrew Wajna. Pomijając brak jednej litery czyż nie można wyobrazić sobie, że godność ta jest jakimś rodzajem alter ego, Andrzejem Wajdą stojącym po drugiej stronie lustra?

02/07

"KATYŃ - POST PRESENTATION, CZYLI DLACZEGO NIE PÓJDĘ DO KINA?"

W zasadzie miało być o czymś zupełnie innym ale wobec całego tego szumu medialnego, tej istnej zawieruchy wokół najnowszego filmu A. Wajdy, po prostu nie mogłem nie napisać czegoś "a propos" raz jeszcze, tym razem ostatni. W dniu uroczystej premiery wystarczyło niemal o dowolnej porze (pomijając może późne godziny wieczorne) włączyć telewizor aby natknąć się na któreś tam z rzędu wejście antenowe relecjonujące że się tak wyrażę kolejny "Wajdowy benefis". Prócz tego można też było zobaczyć co ważniejsze fragmenty filmu. Wielu telewidzów być może na ich podstawie wyrobiło sobie jakiś wstępny pogląd wobec obrazu. Ja też.

W jedej ze scen żona jednego z oficerów podniesionym głosem oznajmia matce? teściowej?, że jej męża nie ma na liście pomordowanych. O ileż ta scena byłaby bardziej wymowna gdyby słowa te były po prostu wypowiedziane, lub nawet wyszeptane. Emocje były by po prostu większe na zasadzie owego kontrastu pomiędzy formą wypowiedzi a jej treścią. Wystarczy dla porównania obejrzeć film Bergmana "Szepty i krzyki", temat co prawda krańcowo inny, jednak emocje miejscami bardzo podobne. I w filmie Wajdy i u Bergmana głównymi postaciami są bowiem kobiety. W filmie Bergmana jedna z bohaterek krzyczy, ponieważ umiera na raka i w związku z tym bardzo cierpi, inna kobieta - siostra chorej - wypowiada się szeptem, gdyż zna wagę wypowiedzanych przez siebie słów i nie musi kłaść na nie dodatkowego ciężaru. W końcu wszystkie kobiety (jest ich w filmie trzy) także mówią ponieważ życie wymaga od nich przyjęcia pewnych przynależnych do nich ról. No a Wajda i jego "Katyń"? Co prawda Wajda to nie Bergman, jednak wierzę, że on także zdolny by był do czegoś podobnego co było udziałem szwedzkiego mistrza, ale nie chce. Wajda chce za to aby jego film możliwie jak najlepiej się sprzedał (liczba kopii mówi tutaj sama za siebie), kreśli więc swoje postacie grubą krechą za nic mając przeróżne niedopowiedzenia, półcienie, etc. Ma być cierpienie? Proszę bardzo: Kobiety szlochają, wołając swoich mężów, dzieci płaczą wołając swoich ojców, żołnierze nie płaczą bo przecież żołnierz to żołnierz a nie baba i zaciskając usta odchodzą wraz z innymi w siną dal. Jest cierpienie? Jest. Spoko. Jest też kubek zimnej coli i porcja popcornu. Film dotrze do mas, tyle, że w przypadku takich historii jak Katyń nie do końca jestem pewien czy rzeczywiście tak powinno być.

To co mnie chyba najbardziej w tym wszystkim drażni, i czego w żaden sposób nie potrafię zaakceptować to ta zadziwiająca przepaść pomiędzy skalą emocji jakiej żąda się ode mnie jako od widza ale także jako od Polaka a stylem filmu, który wydaje mi się być czymś na poziomie bardzo dobrej ale jednak produkcji telewizyjnej edukacyjnej, po której obejrzeniu widz co najwyżej powie: "Acha, więc tak to było, to już chyba wiem". Dlatego właśnie kina z napisem "Katyń" mam zamiar omijać z daleka.

Robert Kinoman

03/07

PASZOŁ WON, ŻURAWIE!

Podobno już odleciały bociany. Według tych co się na tym znają, to niechybny znak, że przyjdzie zima jak sto diabłów. Polak przeżyje. Może przez to, że zima będzie sroga coś poczyta albo pójdzie do kina, albo co raczej bardziej realne urządzi sobie tęgą popijawę na herbatce u znajomych.

Bociany zatem odleciały, a jak się sprawa przedstawia z takimi oto żurawiami? Przyznam się bez bicia, że pojęcia nie mam. Żurawie kojarzą mi się z wierszem A. Brzechwy - Żuraw i czapla, z żurawiną (polecam kisiel żurawinowy) i z filmem produkcji radzieckiej pt: "Lecą Żurawie". Film, że chcą niektórzy - legenda, arcydzieło, rzecz która jakoby obeszła się z czasem wszędobylskiej ichniej propagandy (obraz powstał w 1957 r) jak nie przymierzając Michnik z Rywinem. Uczta dla oka, poezja, etc. Czyżby? Obejrzałem ten film po raz pierwszy jako niespełna 10-letnie pachole, zrozumiałem nie za wiele. Film wszak utkwiał mi w pamięci a konkretnie dwie bodaj sceny: Pierwsza, kiedy główny bohater na froncie dostaje kulę, patrzy w górę i naraz brzozy, pośród których to wszystko się dzieje, wirują mu coraz szybciej i szybciej, jak karuzela. Wtem odjazd kamery i radziecki bohater pada jak ścięte drzewo. Mocne. Zapamiętałem. Scena druga zaś, to chwila kiedy główna bohaterka - dziewczyna bohatera, cała zapłakana, ubrana w białą sukienkę, wiedząca już, że jej luby poległ, rozdaje ładnym chłopakom co wojnę wygrali ,po kwiatku.

Wzruszające bardzo. Też zapamiętałem. A przynajmniej tak mi się do niedawna wydawało. Niedalekimi czasy obejrzałem ten film po raz wtóry, już jako mężczyzna w sile wieku, co by nie powiedzieć - autor niniejszego blogu. No i....? Ach, szkoda nawet słów. Jak to możliwe, że to g... dostało nie tylko złotą palmę w Cannes ale nawet Oscara! Temat to godny Wołoszańskiego Bogusława i któryś tam już tajemnic XX wieku. Film, który zrywa z sowiecką propagandą? Dobre sobie! Niepojęte doprawdy, jak ten chłam traktuje się w annałach X muzy. A traktuje się go jako wielki przykład filmowej maestrii. Żadnych słów krytyki, żadnych wątpliwości. Wszyscy filmowi krytycy w tym kraju ( a może i nie tylko w tym) nabrali wody w usta i tylko ruchem głowy potakują: "Tak, "Lecą żurawie to film wielki". A d..a ! Ogłądałem tę celuloidową wielkość i sam nie wierzyłem w to co widzę. Czy to naprawdę ten sam film? Czy to są właśnie te słynne "Lecą żurawie"? A może oglądam jedynie zmodyfikowaną wersję, tę producencką, znaczy się państwową, coś jak dwie wersje filmu "Zakazane piosenki". Gdzie w tej oficjalnej armia czerwona szła na odsiecz Powstaniu Warszawskim i żołdat krzyczał "Agoń!" Ale chyba nie. Pewnie bym wiedział, że jest jeszcze wersja druga. Tak więc to ten film. Film, który swego czasu objechał cały świat, który nazywano "Romeem i Julią czasu wojny", który dostał największe laury, jakie dziełu filmowemu można przyznać. który swoją intensywnością emocjonalną rozcinał wręcz płócienny, kinowy ekran. No więc dlaczego do cholery ja się z tego filmu śmieje? Dlaczego wydaje mi się on żalony, niepoważny i w gruńcie rzeczy bzdurny? (No, może z wyjątkiem sposobu ukazania wojny, jest taka jak trzeba, tzn brudna, brudna i jeszcze raz brudna, zabłocona) No ale reszta? Ach, pożał się Boże... Oto kilka obrazów z "arcydzieła" pt: "Lecą żurawie": Obraz 1) On i ona - zakochani, trzymają się za rączki (to akurat normalne) i... płasają. Tak, płasają, jak kilkulatki z reklamy pewnego serka. A przecież są już dorośli. Choroba jakaś czy ki diabeł. Alzheimer może? Nie mogli by po prostu iść? Obraz 2) Ona, dziewczyna żołnierza, który poszedł na wojnę, stoi naprzeciwko jego brata, który wyznaje jej miłość a akurat trwa nalot. On więc do niej "Lublju" a ona go w pysk! A bomba "Bum"! No więc on znów głośniej: "Lublju" a ona znów go w pysk a bomba znów "Bum" i tak chyba ze 4 razy albo i 5. Śmiech na sali. Ciekaw jestem jakby zachowywała się publika oglądając to w kinie? Arcydzieło! No i ostatni, trzeci obraz) Ona przepięknie ubrana, jak majowa jutrzienka przychodzi na dworzec kolejowy trzymając w dłoniach nęcze polnych kwiatów. Dookoła wojacy, szczęśliwi, bohaterscy. Zostało im już tylko wleźć na cokół jakiś. Witają ich matki, żony, a może i kochanki nawet. Ona patrzy na to wszystko - jej ukochanego nie ma, nie przyjechał, znaczy, poległ. Zaczyna płakać. I gdyby... Ach, gdyby płacząc zaczęła rozdawać każdemu z żołnierzy po tym kwiatku a wszyscy wokół dziwowali by się, czemu ona ryczy, byłby to film wielki, wart nagród, powtórnych seansów, itd. Ale gdzie tam! Nie lzja! Oto pojawia sie wujek dziewczyny, a może i sam ojciec i mówi jej mniej więcej tak: "Przestań płakać, zobacz tylko ile dookoła fajnych chłopów, myśmy wygrali, szkoda twoich łez, dziś jest wspaniały dzień! Oto zajaśniała nam zorza swobody a ty będziesz ryczeć jak jakaś głupia? Wytrzymaj sobie gębę, i daj tym dzielnym chłopcom po kwiatuszku, a jak któryś będzie cię namawiał, żebyś z nim poszła, to nie protestuj, acha i pocałować pana nie zapomnij jak Magda w teleturnieju "Koło fortuny". No i ona lzy ociera i już rozumie, doznała olśnienia niczym Lenin, którego nawiedził we śnie Josif Wisarionowicz waląc go w łeb, dlatego Lenin przestrzegał by nie przekazywać mu władzy. Łezki ociera i dalej, zęby szczyrzyć, wojaków całować, po kwiatuszku darować... Kto nie wierzy, niej obejrzy. Na sam koniec ona i wujek zadzierają łepetyny do góry, patrzą, a tam lecą żurawie. A niech lecą w cholerę!

Robert Kinoman

04/07

"PO NAS CHOĆBY POTOP"

Teatr "Stu" w Krakowie. Trwa właśnie benefis znanego reżysera filmowego Jerzego Hoffmana. Na niewielkiej scenie otoczonej wianuszkami widzów i zaproszonych na uroczystość gości, stoi popularna aktorka Barbara Brylska. Czyta z kartki wierszowaną laurkę dla jubilata, w końcu jednak pojawiają się gorzkie nieco słowa na temat straconej niegdyś roli Oleńki w ekranizacji Sienkiewiczowskiego Potopu na rzecz innej aktorki Małgorzaty Braunek. Stojąca kilka metrów

dalej Braunek zwraca się do reżysera pół żartem, pół serio: "Jerzy, no powiedz jak było..."  
Było ich troje: Małgorzata Braunek, Andrzej Żuławski i Daniel Olbrychski - trójka oddanych sobie przyjaciół, których połączyła jedna, wspólna pasja - Kino. Młodzi, zdolni, ambitni.  
Oleńką miała być Brylska, takie były plany, tak chcieli widzowie, reżyser jednak zdecydował inaczej. Po 4 latach morderczej pracy całej ekipy, film "Potop" na podstawie drugiej części Trylogii H.Sienkiewicza w reżyserii J.Hoffmana, wchodzi na ekrany. Podoba się wszystkim, zdobywa główne laury na I Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych, jest też nominacja do "Oscara".  
Ostatecznie Hoffman przegrywa jednak w starciu z Fellinim i jego "8 i 1/2". Aktorzy występujący w filmie grają wybornie. Wszystkim tym, którzy jeszcze przed realizacją na wieść o tym, że Kmicica zagra pamiętny Azja, znacząco pukali się w czoło, teraz odebrało mowę. Olbrychski w roli Pana Andrzeja rzeczywiście zachwyca. Potrafi być na przemian czułym kochankiem jak i niebezpiecznym furriatem, w końcu bohaterem. Ale nie tylko on. Klasą samą dla siebie jest Tadeusz Łomnicki w roli małego rycerza - Pierwszej Szabli Rzeczypospolitej. I tylko pewien znany polski pisarz i felietonista pyta na łamach prasy: "Dlaczego rolę Oleńki zagrał Max Von Sydow?"  
Mijają lata. Jerzy Hoffman wciąż marzy o realizacji "Ogniem i Mieczem" - Pierwszej części Trylogii. Czasy wydają się temu sprzyjać, muru berlińskiego przecież już nie ma, śmiało więc można pokusić się o opowieść na temat niegdysiejszych bolących dat w życiu "obu bratnich narodów". Szybko okazuje się jednak, że to co było możliwe jeszcze za czasów kinematografii państwowej, dziś w dobie wolnego rynku jest jedynie mrzonką. Na nowy film Hoffmana zwyczajnie nie ma pieniędzy. Reżyser nie poddaje się jednak. Gra va banque, zastawia cały swój majątek i bierze kredyt z banku. Pieniądze są, obsada prawie ustalona. Rola krukowłosej Heleny - głównej kobiecej postaci w "Ogniem i Mieczem", Hoffman proponuje córce Barbary Brylskiej, Basi Kosmal. Radość jest wielka, cieszą się i matka i córka. Młodziutka Basia pracuje jako początkująca aktorka i modelka czas dzieląc pomiędzy pokazami to w Japonii, to w USA. Jest zjawiskowa, po prostu śliczna. Ma lśniące, czarne, długie włosy, ciemne oczy i karminowe usta. Jeżeli rzeczywiście zagrała by Helenę nie dziwiłaby wcale chęć kozackiej duszy aby cały świat podpalić w razie straty ukochanej.  
Brzeziny. To tutaj ma miejsce wypadek samochodowy. Kierowcą, który wychodzi z niego niemal bez szwanku, jest Xawery Żuławski - syn Małgorzaty Braunek i Andrzeja Żuławskiego, pasażerem jest Basia Kosmal - dziewczyna nie żyje. Ma tylko 21 lat.  
Rozpoczyna się realizacja "Ogniem i Mieczem", swój udział w produkcji ma również strona ukraińska. Nie ma więc mowy o tym aby pokazać kozaków tak jak zrobił to Sienkiewicz, przeciwnie, dostaje się za to polskiej szlachcie, która na zgrupowaniu w Zbarażu zamiast gotować się do boju urządza popijawę i "puszcza wiatry". Z jednej strony brak czarno - białych podziałów wychodzi filmowi na dobre, tyle, że taki sam obraz można było nakręcić i w PRL-u. Hoffman niepotrzebnie więc czekał kilkadziesiąt lat. Film podoba się, zarówno krytykom jak i widzom. Wśród występujących w nim aktorów prym wiedzie Aleksander Domagarov, rosyjski aktor wcielający się w kozackiego zawadiakę Bohuna. Kradnie innym wykonawcom niemal cały film. To na niego głównie chce się patrzeć, jego oglądać. Za to powierzenie roli Heleny, Izabeli Scorupco, to jakaś farsa. Aktorka nie dość, że nosi perukę o rudym! odcieniu, to jeszcze mówi niskim, chropawym głosem, wzbudzając śmiech podczas seansów. W dodatku jej na wskroś współczesna (dziwnie nieatrakcyjna uroda) nijak nie pasuje do epoki jaką film opisuje.  
"Potop" i "Ogniem i Mieczem" - to dwa przykłady naprawdę solidnej filmowej roboty, nie da się jednak ukryć, że nad jednym i drugim zawisło coś w rodzaju przedziwnego fatum. W obu filmach, w tak ważnych dla całości kobiecych rolach, zostały obsadzone aktorki kompletnie się do tego nie nadające.  
Dlaczego Barbara Brylska nie zagrała roli Oleńki? Dlaczego Basia Kosmal musiała umrzeć? Na to drugie pytanie odpowiedzieć może jedynie Bóg, na pierwsze Jerzy Hoffman.

Robert Kinoman

05/07

POLAK, REŻYSER, KATOLIK.

Pewien minister polskiego rządu (łaskawie spuśćmy na niego zasłonę miłosierdzia i nie nazywajmy rzeczy po imieniu), zasłynął tym, że stwierdził iż Polska nie musi być ani biedna, ani bogata, ważne jest aby była katolicka. Myślę sobie czasem że stwierdzenie owo można też odnieść do rodzimej kinematografii (przynajmniej ostatnimi czasy). Nie musi być ciekawie, nie musi nudno, ważne, żeby było po katolicku. Kino nie jest najważniejszą ze sztuk, za to jest zdecydowanie sztuką najmłodszą. Liczy sobie zaledwie nieco ponad 100 lat. Przez cały ten czas powiedziano w kinie właściwie chyba już wszystko, a to co nowe jest jedynie którymś tam wariantem tego co było wcześniej. Religia katolicka trwa nieprzerwanie od ponad 10 wieków. Przez mijające stulecia z kościelnych ambon powiedziano już bardzo wiele, jednocześnie drugie tyle czeka na usłyszenie. Watykan bowiem pilnie strzeże aby coś się ostało również następnym pokoleniom. I kino i katolicyzm potrafią bardzo silnie oddziaływać na ludzkie dusze nierzadko budząc wielkie emocje. Czasami jedno - ideologia, łączy się z drugim - obraz. Rezultaty zaś bywają niekiedy porażające. Przychodzi mi na myśl film pt: Quo Vadis na podstawie Nobla Sienkiewicza w reżyserii Jerzego Kawalerowicza. Temat wszystkim znany: Biednej chrześcijańskiej gminie, udaje się pozyskać bogatego, rzymskiego patrycjusza. Jednym ze zwrotów akcji tak w książce jak i w filmie, jest pamiętna scena z bykiem.

Rzymski amfiteatr. Pnące się pod same niebo trybuny, gęsto zaludnione ludzkością łaknącej chleba i igrzysk. Pośrodku areny stoi samotna postać. To młody mężczyzna o imieniu Ursus, wielki i silny jak dąb, starożytne wcielenie człowieka - demolki. Po chwili na arenę wybiega rozjuszony buhaj. Na jego grzbiecie tkwi przywiązana doń młoda, naga(sic!)kobieta. Ursus zastyga w bezruchu, napina wszystkie mięśnie, ani jeden mięsień nie śmie teraz drgnąć na jego twarzy. Jak gdyby kładąc fundament pod przyszlą, jakże budującą ideę - "Polskie dziewczyny na Polskie traktory" - dopada byka, chwytając go za rogi, oplata ramionami byczą szyję, po czym skręca Bogu ducha winnemu zwierzęciu kark. Bierze zemdloną, nagą? niewiastę na ręce. Tłum szaleje ze szczęścia. Bis! No, ok. Tylko co z tą nagością? Dla starożytnych Rzymian nagie, ludzkie ciało było czymś tak naturalnym jak nie przymierzając, dla PIS-u elektorat w postaci słuchaczy radia Maryja. Bardzo więc wątpliwe jest aby Rzymianie zadawali sobie trud chcąc zakryć wiadome części ciała swojej niedoszłej ofierze. Natomiast w filmie Kawalerowicza, Ligia (takie imię nosiła główna bohaterka), leżąc na byku ma na sobie, uwaga... rodzaj majteczek uplecionych z kwiatków. W dodatku smugi jej lnianych włosów weszły w niewytłumaczalną zażyłość z jej piersiami. Zupełnie tak jakby Piotr (zanim jeszcze został świętym), któremu sen z powiek spędzała straszliwa wizja wychynięcia na światło dzienne dziewiczych sutek, usłyszał od jednego ze swych towarzyszy: "Nie być problemu, ja mieć kropelka". Że śmieszne? Że nieprawdziwe? Że żalodne? I co z tego. Ważne, że po katolicku. Jak to możliwe, że człowiek, który nakręcił "Faraona", "Austerię", "Matkę, Joannę od Aniołów", popełnił coś tak makabrycznie złego? Coś wobec czego słowo "Film" powinno być użyte jako słowo ostatnie. Jednocześnie w tym samym... czymś, raczy się widza zbliżeniem lwa pożerającego... odciętą, ludzką dłoń, któremu wtórują jęki konających i leżąca się na arenę krew. Można pokazać rozczłonkowane ludzkie ciało, nie można pokazać kobiecej nagości. Kto to robi, służy diabłu.

W przeszłości w imię Boga, nie diabła, bestialsko zakatowano tysiące ludzkich istnień. Bardzo szybko bowiem kościół katolicki stał się z prześladowanego, prześladowującym. Na stosach palono nie tylko niewinnych ludzi, których jedyną winą było to, że chcieli być po prostu... ludźmi. Płonęły także koty. Tym samym spowodowało to gwałtowne rozplenie się szczurów, co się z kolei przyczyniło do wybuchu potwornej dżumy, która zabiła 1/3 ludności ówczesnej Europy. Przez wieki kościół katolicki utwierdzał swych wiernych w ciemności, niewiedzy i zabobonach. Dość powiedzieć, że pierwszą z ramienia kościoła osobą, która potwierdziła, że ziemia jest kulą był... Jan Paweł II. Na nic zdały się wyczyny Magellana, Kolumba, Kopernika. Przez setki lat ziemia miała być płaska jak naleśnik i basta! Aż dziw bierze, że z tego samego kościoła pochodzili Św. Franciszek, a w Polsce Staszic, Kołłątaj i Krasicki. Szkoda, że było ich tak niewielu, dobrze jednak, że byli w ogóle.

Nie jestem agnostykiem, wierzę w Boga, pokładam w nim nadzieję. Jednocześnie żaden ksiądz na

ambonie nie jest dla mnie żadnym pośrednikiem pomiędzy Bogiem a mną. W wymiarze transcendentnym jesteśmy tylko my dwaj. Bóg i ja. I nikt więcej. Pozostaje już tylko na koniec zacytować święty fragment jedej z piosenek z nie istniejącego już niestety Kabaretu Olgi Lipińskiej:

..."Lecz póki żyję, myślę, czuję,  
Niech ręka Boska broni mnie,  
Przed pychą i nadgorliwością,  
Twych urzędników, panie B."  
Amen.

Robert Kinoman

06/07

## KABARETOWE ZŁO

"Kabaret", film Boba Fosse'a z 1972. Berlin, lata 30-ste ubiegłego stulecia. Śledzimy losy pewnej aktorki podrzędnego teatryku rewiewego, która po godzinach pracy przeżywa niezbyt gorący romans z pewnym Amerykaninem. W tle faszystowski reżim coraz śmiej podnoszący swój budynek. W rolach głównych Liza Minelli i Michael York.

Ona - córka Judy Garland, pamiętnej Dorotki z "Czarnoksiężnika z Oz", śpiewającej tęsknie "Over The Rainbow". Co prawda nie odziedziczyła urody po matce. Twórca wszak obdarzył ją w zamian niezaprzeczalnym talentem wokalnym. Głosem o charakterystycznej, natychmiast rozpoznawalnej barwie. Tyle, że Minelli od czasu "Kabaretu", swych słuchaczy za bardzo nie rozpieszcza, a właściwie w ogóle nie śpiewa, czas dzieląc pomiędzy utarczki z kolejnymi życiowymi partnerami a walką z nałogiem. Mimo, że sama zagrała w ponad 30 filmach, przez zdecydowaną większość jest kojarzona z jedną tylko "kabaretową" rolą. Liza, trzymaj się!

On, Michael York - dziecko swych rodziców, pamiętny (dla niektórych) D'Artagan z jednej z licznych filmowych adaptacji książki Dumasa. Więcej jego głównych ról nie pamiętam. W "Kabarecie", grał jedną z głównych. Niewykluczone, że ostatnio nie wie mu się najlepiej, jako, że nie tak dawno zawitał do Polski, aby wystąpić w jednym z telewizyjnych show. Śpiewał tam, o ironio, piosenkę pt "Money" (nie mylić z "Money" zespołu Pink Floyd). Być może jednak, jest zupełnie inaczej a przyjazd zachodnich aktorów do naszego kraju oznaczać może tylko jedno - czas wesołej prosperity. W końcu Catherine Deneuve też była, nie.

Po co o tym wszystkim piszę? Dlatego, że życie pozafilmowe obojga wymienionych przeze mnie artystów kina wydaje mi się o wiele ciekawsze aniżeli ich kreacje w filmie Fosse'a. "Kabaret" jest niemal powszechnie uznawany za skończone arcydzieło. Jak dla mnie, jest to kolejny dowód na to, że "świat się pomylił". Bo co z tego, że tytułowe występy na teatralnych deskach są faktycznie efektowne a Liza Minelli niskim, zmysłowym głosem nuci "Main Liebe Her", skoro cała "pozakabaretowa" reszta jawi się jako zwyczajna zapchajdziura. Jako widz ma się ochotę (przynajmniej ja takową miałem) popędzić taśmę do przodu, do momentu kiedy znowu zobaczą Joela Greya i L. Minelli w akcji. Gdyby akcję umiejscowić tylko w kabarecie, bez wyłączenia na zewnątrz, byłoby to rzeczywiście arcydzieło jak się patrzy, a tak wszystko jest bezlitośnie dopowiadane, tłumaczone niczym cep "przemawiający" do kłosów. Brakuje jedynie zdania, "że ten Hitler to chyba nie jest za bardzo ok". Atoli przydarza się "występ sceniczny" poza teatrem. Miejscem pokazu jest bowiem ogródek piwny. Wokół wiejskie, sielskie, jakże bawarskie okolice przyrody. Tam, poza linną stolików z piwoszami, stoi sobie chłopię - wyglądające jak młody aryjski bóg. Mundurek, na ramieniu obowiązkowy emblemat, czapka z gracją trzymana pod pachą. Chłopię stoi i śpiewa: Że kwiatki, że pszczołki, pszczołka Maja sobie lata i inne takie... Zwrotkę wieńcząc słowa o tym, że "jutro będzie należeć do mnie". Z czasem robi się coraz bardziej podniosłe. Zebrani piwosze tężeją, zapominają o niedopitym piwku i wlepiają coraz natarczywiej wzrok w śpiewającego. Ten zmienia ton. To już nie tam żadne pszczołki, ale stado szerszeni ruszyło właśnie do ataku. Głos młodziana zaczyna brzmieć coraz bardziej doniosłe, coraz dobitniej, aż w

końcu nadzieja rzeszy nakłada czapkę i zaczyna się drzeć, o tym samym, że "jutro będzie należeć do niego itd". Tym samym, jest to chyba jedyny na świecie przykład przejścia podczas jednego wykonywanego utworu z poziomu jakiegoś za przeproszeniem "dojczy disco" do "metal", jakiego nie powstydziliby się niemiecka grupa Rammstein. Na sam finał śpiewak wyciąga przed siebie łapę w wiadomym pozdrowieniu, piłuje mordę jeszcze bardziej a piwosze i piwoszki razem z nim, żeby było weselej. Cała ta durna jak but scena (ale zapewne opiewana w podręcznikach jako nieludzki wręcz przykład filmowego fachu), miała wg twórcy filmu ukazać postępującą groźbę nazizmu. Co z tego, skoro wygląda to komicznie a nie groźnie. Można przecież było trzymać się jednego tonu. Chłopak śpiewa sobie cały czas pogodną wesolutką pioseneczkę o zapyłaniu. A my sami wiemy, że tak naprawdę to ona wcale taka wesolutka nie jest. Byłoby i lepiej i prawdziwiej i wreszcie mniej dosłownie! Czepiam się tej "dosłowności" jak pijany płotu, ale jest to dla mnie po prostu jeden z ważnych, jeśli nie najważniejszy przykład dobrej filmowej roboty (znaczy brak dosłowności a nie jej nadmiar). Bob Fosse - niezjący od kilkudziesięciu lat, reżyser filmu pt: "Kabaret", miał inną wizję. W jaki sposób ukazać publice wypełzającą zewsząd nazistowską hydrę? A postawić blondynka i niech się na ten temat wydziera a im głośniej tym lepiej. Ludzie to zobaczą i przeżyją szok. Nigdy więcej wojny! Ludzie to zobaczyli i rozboleł ich brzuch (ze śmiechu). Fosse, wbrew uczonym, filmoznawczym piórom i z pewnością wbrew własnym zamierzeniom, tak naprawdę powiedział wszystkim dowcip. Tyle, że jak pokazała to historia, wcale nie było się z czego śmiać Robert Kinoman

07/07

DZIŚ, CZYLI "28 DNI PÓŹNIEJ", ALBO...

MÓJ KANON - część I.

Czy na początku rzeczywiście było słowo? Od kiedy przyszła "światłość świata" zeszła z drzewa, zaczęła bacznie rozglądać się wokół. Nic dziwnego, pierwsi ludzie żyli przecież na rozległych łąkach pośród równin i musieli stale uważać czy aby gdzieś zza załomu skał, czy też z trawiastego poszycia nie ukaże się głodny i zazdrosny o wyprostowaną postawę drapieżnik. Z czasem jednak, człowiek osiągał coś co można było względnie nazwać "poczuciem bezpieczeństwa". Wówczas, napojony i syty zaczął raz jeszcze obserwować otaczający go świat. Wypatrując już nie tylko wrogów ale też i przyjaciół. Niektóre zwierzęta bowiem wyraźnie mu imponowały - ich zwinność, szybkość... To nic, że na niektóre z tych zwierząt polował, nie przeszkadzało mu to odczuwać wobec nich szacunku. Chwila jest jednak rzeczą ulotną toteż człowiek zapragnął ją niejako wskrzesić, unieśmiertelnić, zatrzymać w kadrze piękno otaczającej go przyrody. Zaczął więc... malować, to co wcześniej widziały jego oczy. Pojawił się... obraz. Później człowiek chciał do tego co namalował jakoś się odnieść, nazwać rzecz po imieniu, powiedzieć komuś "To jest moje, ja to namalowałem, proszę patrzeć i podziwiać". Zaczął więc mówić. Co rzecz jasna niosło ze sobą daleko większe skutki aniżeli malowidła w jaskiniach. Pojawiło się więc... słowo. Na koniec człowiek stworzył coś, co zdawało się wymykać poprzednim dwóm elementom, była to bowiem abstrakcja. Istota ludzka pośród mijających dni, miesięcy, pór roku, słuchała czasem szumu morza, śpiewu ptaków, wiatru w koronach drzew. A gdy już się nasłuchiwała, z zachwytem nad tym wszystkim postanowiła stworzyć coś podobnego aby jeszcze bardziej wyrazić przez to swój podziw. Tak powstała... muzyka. I tak oto wieczorami, przy palącym się ognisku, zbierało się całe plemię, siadało w kole, patrzyło na płomienie strzelające w usiane gwiazdami niebo i słuchało opowieści starych dotyczących ich własnej przeszłości a nierzadko wtórowała temu śpiewana ballada, jeszcze bardziej uatrakcyjniając słowny przekaz. Owe "biesiady" przy ognisku, owe opowieści okazały się być dla człowieka czymś niezmiernie ważnym. "Budowały" go, tworzyły międzyludzkie relacje, słowem ukształtowały ludzką tożsamość.

Minęło wiele tysięcy lat i oto człowiek wynalazł coś co łączyło "obraz", "słowo", i "muzykę" w jedną całość. Tak narodziło się... kino.

"28 dni później". Film w reżyserii Danny'ego Boyla z 2002 roku, po raz pierwszy obejrzałem w Gdańsku - mieście w którym miałem przyjemność studiować. Z kina wyszedłem niemal

zachwycony, seans zaczął się późnym wieczorem toteż skończył się grubo po północy. Wracalem do akademika przez opustoszałe centrum i niczym człowiek pierwotny wypatrywałem czy aby z za zaułka nie wychynie jakiś potępieniec. Na szczęście nic złego mi się nie przytrafiło i kładąc się do łóżka raz jeszcze, tym razem w myślach zacząłem oglądać film od nowa.

Akcja dzieje się współcześnie. Anglia. Londyn. Do jakiegoś tajnego laboratorium wdziera się grupa obrońców praw zwierząt i uwalnia z klatek przetrzymywane tam szympanse. Mały okazują się być zarażone strasliwym wirusem, wystarczy, że zwierzę lekko tylko ugryzie człowieka a ten w ciągu zaledwie kilku sekund zamienia się w bezmyślne zombi. Mija tytułowe 28 dni.

Miasto jest opustoszałe, wszędzie walają się jedynie śmieci i porzucone pojazdy. Główny bohater filmu budzi się ze śpiączki w jaką popadł na skutek wypadku. Jest sam w całkowicie pustym szpitalu. Z czasem poznaje młodą kobietę, i ojca razem z jego nastoletnią córką, którzy pomagają mu przetrwać. Wcześniej wraca do swego domu gdzie odkrywa martwe ciała swoich rodziców.

Jim - bo tak ma na imię główny bohater filmu wraz z przyjaciółmi postanawiają szukać pomocy u żołnierzy, którzy podobno cali i zdrowi stacjonują gdzieś poza miastem. Udaje im się w końcu do nich dotrzeć. Szybko jednak wydaje się, że wojacy choć wydawałoby się zdrowi, okazują się być niemal tak samo groźni jak grasujące po zmroku wygłodniałe wampiry. Izolacja, ciągłe przebywanie w tym jednym i tym samym męskim gronie, brak rozrywek zrobiły swoje. Żołnierze mają zamiar z powierzonych im opiece dziewczynki i kobiety, zrobić panie do towarzystwa. Jim stara się do tego nie dopuścić. Dalej nie opowiadam nie chcąc psuć wszystkiego tym, którzy jeszcze filmu nie widzieli. Jak powiadam, kiedy widziałem go po raz pierwszy, podobał mi się bardzo. Później gdy obejrzałem go po raz wtóry, tym razem na DVD, mój wcześniejszy entuzjazm dość mocno opadł.

Raptem zacząłem dostrzegać pewne oczywiste dla mnie wady, takie jak pewna niekonsekwencja w ukazywaniu "zombie", dość łatwo dająca się przewidzieć psychologia postaci. etc.

Całkiem niedawno, z gołą przypadkiem obejrzałem film "28 dni później" po raz trzeci. I...

zachwyłem się na nowo. Raz jeszcze przypomniałem sobie wspaniałą atmosferę, niesamowity klimat tego filmu, no i ta muzyka. Ci którzy filmu nie widzieli, oglądając go niech zwrócą uwagę na scenę podczas której Jim idzie przez opustoszałe niczym po północy centrum Londynu. Zaczyna się od nieśmiałych "brzdąknięć", prawie niesłyszalnych, które z czasem, kiedy Jim zaczyna rozumieć co się wydarzyło, przemieniają się we wściekłe cressendo. To trzeba po prostu zobaczyć i usłyszeć. Mój ponowny podziw nie wynikał jednak jedynie z w/w elementów. Główny na to wpływ miała jedna, jedyna, trwająca zaledwie kilka lub kilkanaście sekund scena, która podczas wcześniejszych seansów jakimś cudem mi umknęła, po prostu jej nie zauważyłem! Jim przychodzi do swojego domu, widzi leżące, martwe, zaczynające już gnić ciała swojej matki i ojca, wyciąga z ręki matki fotografię przedstawiającą jego jako jeszcze małego chłopca. Wraca do swej kryjówki. Zaczyna płakać. Odwraca fotografię z widniejącymi na jej drugiej stronie przeznaczonymi dla niego słowami. Te właśnie słowa tak mnie zachwyciły. Niby nic wielkiego. Ot, kilka linijek tekstu. W sumie trzeba dosyć solidnej uwagi, żeby w ogóle je dostrzec. Kiedy jednak je się dostrzeże... Dla mnie brzmią one jak najpiękniejsze wyznanie wiary w człowieka. W jego mimo wszystko dobroć, umiejętność poświęcenia, w końcu miłość. Wyznanie tym piękniejsze, że przecież wypowiedziane nie wprost. Słowa te brzmią następująco: "Jim, kochany, zostawiliśmy cię śpiącego. Teraz śpimy razem z tobą.

Ps: Nie budź się".

Dziś, gdy zdarza nam się przebywać pośród grona przyjaciół, jakże często pragniemy słuchać po prostu ciekawych opowieści.

Robert Kinoman

08/07

"GWIAZDY I BIAŁE KARŁY"

Jest w animowanym filmie pt: "Król Lew", pewna bardzo zabawna scena (jest ich zresztą w całym filmie wiele). Oto po sutej kolacji trójka przyjaciół: tytułowy lew - Simba, surykatka - Timon i

dzika świnia - Pumba, leżą sobie na pagórku i patrzą na usiane gwiazdami nocne niebo. Wtem Bumba mówi:

- "Timon, zastanawiałeś się kiedyś, co to jest to, takie świecące, tam w górze?" Na co Timon odpowiada:

- "Pumba, ja się nie zastanawiam, ja wiem".

- "No to powiedz".

- "To są świetliki, świetliki, które przyczepiły się do tego czarnego, tam w górze".

A Pumba rzecze tak:

- "Aha, a więc to nie są płonące kule gazowe oddalone o miliony mil?"

Tak. To czym są gwiazdy, nie trzeba chyba nikomu wyjaśniać.

Gdzieś tak całkiem niedawno, bawiąc w większym mieście, jechałem środkiem komunikacji miejskiej, stojąc obok młodego chłopaka, którego koleżanka (dziewczyna?), siedziąca obok i zapamiętała czytała jakiegoś szmatławca traktującego o polskich ekranowych idolach. Chłopak dłuższą chwilę przyglądał się temu z niesmakiem, po czym stwierdził krótko: "Gwiazdy! Prędzej białe karły". Koniec cytatu.

Nie wiem czy młodzieniec ów, był studentem astronomii, w każdym razie wyraził się tyleż dosadnie co mało precyzyjnie. No bo czymże są tkzw "białe karły"?

Najkrócej i najprościej rzecz całą ujmując - białe karły są to gwiazdy, które... przeszły właśnie na zasłużoną emeryturę. Słabe toto, chorowite, niewielkie, świecące nędzną resztką dawnego blasku. Nie mogące na zasadzie dawnej chwały zamówić sobie nawet pogrzebu z kompanią honorową - (wybuch supernowej). Eech, marny los czeka białego karła. Koniec końców jak łatwo się domyślić - umiera, stając się niewidocznym dla obserwatora (dzieje się tak na skutek zamiany materii gazowej na materię stałą). Wszak drzewiej biały karzeł był przecież "pełnowartościową" gwiazdą, podziwianą przez miliony ludzi, ba! Przez miliardy!

Czy zatem polskie idolki i idole (głównie szklanego ekranu), byli przed laty dostrzegalnym światłem na filmowym firmamencie i dopiero teraz przyszło im znosić ów praśny, zgoła prowincjonalny żywot?

Możemy śmiać się z Toma Cruise'a, z jego wyznania, z tego, że ponoć buduje ultra nowoczesny schron na wypadek inwazji kosmitów. Jedno jednak nie ulega najmniejszej wątpliwości. Tom Cruise jest gwiazdą. I to jeszcze jaką! Dlaczego? Ponieważ filmy z jego udziałem oglądane są na obu ziemskich półkulach, nie wyłączając pewnie i kół podbiegunowych. Ilość widzów idzie więc w miliardy! Wiele zer znajduje się także na bankowym koncie aktora. Nie ma się czemu dziwić, że gwiazda amerykańskiego kina zgarnia za występ, powiedzmy: 30 mln dolarów. Jeżeli budżet danego filmu zamyka się sumą 200 mln dolarów, a wpływy sięgają rzędu miliarda dolarów, to owe 30 jest słuszną, proporcjonalną do całości przedsięwzięcia sumą. Tam na zachodzie, ma to wszystko bowiem swój właściwy wymiar. A w Polsce? W Polsce za ekranową gwiazdę robi pani, która (uwaga!) nie ma na swoim koncie ani jednej głównej roli w żadnym filmie. Inna "artystka" występując w reklamie jakiegoś mazidła do włosów stwierdza, że piękne włosy muszą być stałym elementem jej osoby podczas pracy na... planie filmowym. Czy muszę dodawać, że żadna "praca na planie filmowym" w jej przypadku również nie miała miejsca?

A przecież kiedyś było inaczej. W pogardzanym dziś zewsząd PRL-u, polskie kino w pełni konkurowało z tym zza żelaznej kurtyny. Któż z nas nie pamięta doskonałej "Seksmisji" czy obu "Vabanków", komedii Barejki, świetnych historycznych fresków J. Hoffmana, debiutu R. Polańskiego, filmów K. Kutza, Munka, i wielu innych. W latach 50-tych ubiegłego wieku również nie było jak narzekać. "Krzyżacy" A. Forda, po dziś dzień robią wrażenie, szczególnie bitwa pod Grunwaldem. Nie zestarzała się ani odrobinę. I pomyśleć, że w tych czasach za oceanem, królował brak detali, szerokie plany i miecze z dykty!

Gwiazdy też były! To prawda, widoczne chyba tylko dla nas, ale świecące tym prawdziwym, (nie tabloidowym) blaskiem. Barbara Brylska, Zbigniew Cybulski, Bogumił Kobiela, Krystyna Janda, Daniel Olbrychski, Janusz Gajos... Tym wszystkim, doskonałym warsztatowo artystom nikt nie pomagał w byciu gwiazdą. Wystarczyły same filmy. Tylko tyle.

Jak będzie teraz? Któż to wie. Dość powiedzieć, że jest chyba coraz gorzej.

Ale w sumie nie ma co narzekać. Wystarczy, że podobno do każdego z nas przypisana jest gwiazda radośnie świecąca na firmamencie nocnego nieba.

Robert Kinoman

09/07

O EFEKTACH SPECJALNYCH JAKIE WIDZIELIŚCIE I JAKICH PEWNIE NIGDY NIE ZOBACZYCIE.

Dracula, bohater filmu F.F Coppoli po przemianie w przystojnego angielskiego dżentelmena, przechadza się tłoczonymi ulicami dziewiętnastowiecznego Londynu, spotykając pewną nadobnej urody damę, której proponuje wspólny spacer, zachęcając przy tym do odwiedzenia "Kinematografu", który jakoby jest największym wynalazkiem ludzkości. Słyszając to owa dama, nie kryje panińskiego oburzenia i stwierdza: "No wie pan, co by na to powiedziała pani Curie?" Fakt. Kino u swego zarania było sztuką ledwie jarmarczną by nie rzecz ludyczną. Taką wobec której baby w polu rzuciły czym prędzej grabie i zadzierając kiecki przebierały czym prędzej umorusanymi stopami aby tylko zdążyć na przyjazd kina objazdowego. Taka była wówczas by tak rzecz medialno-kinowo-życiowa rzeczywistość. Kina, które przez długi czas było pogardzane przez elity, nie stworzyli bracia Lumiere. Mało tego, do końca swych dni niczym Kolumb i jego droga do Indii, byli przekonani, że ich wynalazek nikomu na dłuższą metę do niczego się nie przysłuży. Kino w wymiarze formy (takiej jaka obowiązuje do dzisiejszego dnia), narracji, środków aktorskich itp, stworzył Charles Chaplin. To smutne, że dla zdecydowanej większości kojarzy się on raczej ze ślapstickiem pokroju Flipa i Flapa. Mało kto niestety dziś pamięta zapomniane nieco arcydzieła: "City Lights", "Modern Times", "Gold Rush". Wszystkie te filmy powstały na dobre przed wybuchem drugiej wojny! Zaś pod względem wywoływania emocji wydaje się jak gdyby były stworzone wczoraj. Od samego początku kino miało ambicję nie tyle odwzorowania rzeczywistości, co uczynić ją bardziej "intensywną", "gęstą", podobnie zresztą jak malarstwo czy literatura. Można powiedzieć, że jeżeli chodzi o kształt ekranowy utworzyły się jak gdyby dwa nurty: 1. Bohaterów opowiadanych historii ukazywano często w sytuacjach skrajnych, gdzie prezentowane wydarzenia urastały do rangi decydujących o całym ich życiu, oraz nurt nr 2. Przy pomocy stricte filmowych środków, czyniono wizualny przekaz bardziej atrakcyjnym. Na takim pomysłu opierał się słynny seans "Wjazd pociągu na stację" - podczas którego widzowie zrywali się z krzeseł i w panice wybiegali z sali myśląc, że za chwilę ciuchcia opuści płócienny ekran.

W historii kina zdecydowanie więcej było przykładów owego drugiego nurtu. Zresztą wszelkie możliwe uatrakcyjnianie

prezentowanych historii jest tak stara jak sama ludzkość. Czyż bowiem Biblijny Potop nie był czymś na kształt wielkiego efektu specjalnego? Ale nie tylko ludzkość i ich historie. Sama przyroda nie pozwala nam zapomnieć, że to ona jest tutaj głównym reżyserem i co jakiś czas mnoży nam rozliczne pogodowe "specjalne efekty", nierzadko też zbierając przy tym krwawe żniwo.

Jak zatem kształtowały się "efekty specjalne" w kinie? Na samym początku był tytułowy pociąg, który po prostu sobie wjeżdżał na peron, później była "Podróż na księżyc" J. Meliessa z rakieta wbijającą się w oko naszemu naturalnemu satelicie. Później.... Wymieniać można by bardzo, bardzo długo. Kino bowiem to jeden wielki specjalny efekt. Dość powiedzieć, że w czasach kiedy powstawały "2001 Odyseja Kosmiczna", "Blade Runner", "Alien" - filmy przede wszystkim zachwycające wizualnie, gdzie prócz wydanych pieniędzy widać też było po prostu talent wykonawcy, w Polsce powstawały takie potwory jak "Test pilota Pirxa, bądź też "Klątwa doliny węży", filmowopodobne knoty wobec których najgorszy epitet to przysługa.

Dziś w kinie pokazać można dosłownie wszystko. Celnie ktoś zauważył, że filmowców ogranicza już tylko ich własna wyobraźnia. To co jeszcze całkiem niedawno wymagało milionowych nakładów, sztabu fachowców i mnóstwa czasu, dzisiaj możemy oglądać w reklamie zwykłego proszku do prania. Jak zatem będzie się miała filmowa technologia za lat kilkadziesiąt? Powiedzmy w roku 2040? Czy płócienny ekran zostanie zastąpiony przez urządzenie wyświetlające obraz już nie trzy ale czterowymiarowy? Pożyjemy, zobaczymy. Jest wszak w dziedzinie efektów specjalnych

pewien niewykorzystany do dzisiaj element. A przecież w dobie prezentowanego coraz większego realizmu ma to znaczenie niebagatelne. Niepotrzeba na to absolutnie żadnych środków, wręcz przeciwnie. Ma ich po prostu nie być. Reżyserzy jednak z uporem manniaka zdają się w imię czysto egoistycznych celów mieć to w "głębokim poważaniu". Co takiego mam na myśli? Jak dotąd w żadnym, ale to w żadnym filmie, nie widziałem bohaterki leżącej w łóżku, która by nie miała na twarzy pełnego makijażu. Kiedy wreszcie uda mi się ów brak wypatrzeć, wówczas fakt ten będzie zasługiwać na miano efektu specjalnego którego kino jak dotąd nie widziało.

Robert Kinoman

10/07

## TAKIE SOBIE ROZWAŻANIA

Nie "Sztuczki" Jakimowskiego ale "Katyń" Wajdy został wytypowany do starania się o nominację do "Oscara". Jeżeli Wajda by zdobył statuetkę, byłby to chyba jedyny w historii kinematografii przypadek gdzie reżyser wpięty dostał nagrodę za całokształt a dopiero później za dzieło. Już chociażby z tej racji o oscarowe laury powinien starać się ktoś inny. Nic z tego. Mistrz Wajda nie zamierza tak łatwo nikomu odpuszczać. Argumentem "za", jest oczywiście nagłośnienie świata katyńskiej zbrodni. Swego czasu w atmosferze morderczo wręcz realnej, coś podobnego próbował uzyskać gen. Władysław Sikorski, finał tego był taki, że usyskał... własny zgon z przyczyn uparcie do dziś niewyjaśnionych. Co zatem uzyska Wajda i jego film? Kto wie? Może amerykańska akademia uzna, że lepiej nie drażnić prezydenta Putina i Katyń przepadnie już na przedbiegach a festiwalowa gala niczym defilada po zdobyciu Monte Cassino odbędzie się bez udziału Polaków. Ja jednak bym wolał, żeby nominację czy też nagrodę dostał ktoś zdecydowanie młodszy. Wpięty zostać uhonorowanym za całokształt a później za film to... zwyczajnie śmieszne. I sam już nie wiem, kto wówczas by się bardziej skompromitował? Mistrz Wajda czy szacowni akademicy?; azali jedno Wajdzie trzeba przyznać. Jako adaptator dzieł literackich na język kina nie ma on sobie równych, przynajmniej w Polsce. Piszę te słowa mając w pamięci obrazy z nie tak dawnej emisji "Pana Tadeusza". Ach, czyż mógłby istnieć wspanialszy Gerwazy niż ten koncertowo zagrany przez Olbrychskiego? Albo czy mogła pojawić się lepsza Telimena niż ta wykreowana przez Grażynę Szapałowską?

No i Linda jako ksiądz Robak alias Jacek Soplica, który jeszcze całkiem niedawno z ukrytym pod pachą "kałachem" cedził przez zęby (Linda, nie Robak)"Nie chce mi się z tobą gadać".

A muzyka Killara?; czy finałowy polonez mógłby zabrzmieć dostojniej i bardziej polsko? Przy okazji zadam zagadkę, kto wie niech pisze w komentarzach. Czy Jacek Soplica był dostał czarną polewkę czy też nie dostał? Dla ułatwienia dodam, że na podobnej zasadzie Janko Muzykant ukradł skrzypce. Jedno co mam Wajdzie do zarzucenia a propos ekranizacji poematu, to to, że spowiedź Jacka jest zdecydowanie za krótka i że nie wyjaśnia sprawy owej nieszczęsnej polewki. A reszta naprawdę jest cacy lala. Jak zatem skończy się sprawa katyńska na hollywood arenie? Na pewno napiszą o tym w gazetach. Ostatnio w jednym z dzienników był nad wyraz ciekawy felieton.

Autorka opisuje w nim historię romansu jej przyjaciółki z milionerem z londyńskiego "city".

Kobieta już widziała siebie na ślubnym kobiercu, już w uszach grał jej marsz Mendelsoona, już była mamą może i pięcioraczków, gdy zgoła przypadkowo zapytała swego wybrańca o to co ostatnio czytał? Odpowiedź padła, że Paolo Coelho, fajnie pisze, ciekawie, i daje do myślenia. Mendelson urwał nagle swój wspaniały koncert, pięcioraczki rozbiegły się gdzieś we mgle a zamiast ślubnego kobiercu, widniał rachunek od kelnera wetknięty pod serwetkę. "Pewnie, niech będzie bogaty, zaradny, dowcipny, do tego przystojny, ale niech nie czyta

u Boga Ojca kogoś, kto aktualnie jest super modny, coś bardziej awangardowego by się przydało, niech już by był jakiś Joyce albo inny Proust, albo Remarque, albo chociaż Dostojewski. Dlaczego od razu Coelho???" Ja też go nie lubię, nie cierpię tego nawiedzonego 19-wiecznego sposobu pisania, podobnemu stylowi jakiejś nadobnej matrony. To samo tyczy się Marqueza. Ale to i tak wcale nieźle. Coelho i ten jego "Alchemik" to pół biedy. Sam znam pewną panią, lat 50 parę, 30-letni staż pracy w zawodzie nauczycielki języka polskiego, dla której najpiękniejszą książką jaką

przeczytała w życiu jest... uwaga, to nie żart! "Samotność w sieci". No pora umierać, jak Danuta Szaflarska w filmie o takim właśnie wymownym tytule. Nie wiedząc jeszcze wówczas o jej wyborze, pragnąłem się z nią podzielić mymi nie słabnącymi wrażeniami z lektury "Gry w klasy" Cortazara. Jak dla mnie produkt literacki number one. Odniosła mi książkę następnego dnia mówiąc, że nic z niej nie rozumiała. Jezu! Pytam się głośno, ale nie tylko ja pytam. Pytają wszyscy antenaci, luminarze i beneficjeńcy pióra! Na jakiej zasadzie i w imię jakich racji ta kobieta przez kilkadziesiąt lat uczyła młodzież dziedzictwa światowej literatury?! To przecież mniej więcej tak jakby zwycięzca turnieju w jeździe na deskorolce uczył rajdu przyszłych kierowców formuły 1! Ale w sumie żal mi jej. Biedna kobieta.

"A na ścianie budynku dzieci napisały słowo "Szatan" chociaż inne stronnictwo prowadzi w sondażach" Ale to już trochę inna bajka, prawda?

Robert Kinoman

11/07

## MAYFLOWER, GODFATHER I INDIANIE ALBO MÓJ KANON - część II

Lata 30-ste XX-go wieku, Hollywood. Nad wspaniałą willą jednego z producenckich bossów właśnie wstaje słońce. Jeszcze jest cicho i sennie, lecz pierwsze promienie brzasku powoli zaczynają rozświetlać niebo. Kamera przez chwilę skupia się na zewnętrznym bogactwie rezydencji, by zaraz potem "wejść" do środka. Na wspaniałym łożu, w atlasowej pościeli śpi wygodnie pan domu. Wtem coś czuje, coś co zdaje się nie być snem, lecz milczącą jawą, która usilnie stara mu się objawić pukając w zamknięte powieki. Mężczyzna otwiera oczy, czuje jakby wilgoć, coś klejącego zdaje się oblepiać go zewsząd. Odgarnia kołdrę i na moment zastyga ze zgrozy. Jakiś niecały metr przed nim, leży na łożku skąpany we krwi, odcięty koński łeb. Mężczyzna widząc to zaczyna przeraźliwie krzyczeć jak gdyby postradał zmysły.

Ta słynna scena pochodzi z nie mniej słynnego filmu pt: "Ojciec chrzestny" w reżyserii F.F. Coppoli; filmu wobec którego termin "arcydzieło" zakrawa wręcz na eufemizm. Zadziwiające jest w nim to (i w rzeczywistości stanowiące o jego klasie) że przecież cały czas podczas seansu kibicujemy klanowi bezwzględnych, mafijnych gangsterów, a przecież w głębi duszy nie identyfikujemy się z nimi, nie są oni dla nas wzorem do naśladowania. Na tym właśnie polega perfekcyjna manipulacja jakiej dokonuje na widzu Coppola. "Nakręciłem film o ludziach, których normalnie byście nienawidzili" - zdaje się mówić do widzów reżyser - "Ale ja sprawię, że ich pokochacie". I w pełni dotrzymał słowa.

Mafia, przynajmniej ta, która rozgałęziła się po całych Stanach, Cosa Nostra, przyszła z Włoch, konkretnie zaś z Sycylii. Ma rację niejaki Moo Green - właściciel kasyn w Las Vegas, z którym Michael Corleone zamierza robić wspólne interesy. "Zabawni ci makaroniarze, otwiera się przed nimi granicę a oni od razu czują się jak gdyby byli u siebie!".

To prawda, lecz nie tylko oni. Nie brakuje bowiem opinii, że prawdziwymi amerykańkami byli... Indianie. Natomiast cała reszta, która figuruje jako Amerykański Naród jest po prostu zlepkiem różnych innych narodowości zebranych do kupy. Opinia to jednak fałszywa. Narodu nie czyni jedynie zamieszkanie przez grupę ludzi dany obszar. To przede wszystkim tożsamość. Plemion indiańskich przed przybyciem białego człowieka było bez liku. Każde z nich miało jednak osobny język, wierzenia a nawet historię, czymś wspólnym był jedynie odcień skóry. No i żaden Indianin nigdy nie myślał o sobie jako o amerykańczynie wpatrzonym w gwiazdzisty sztandar. W filmie "Tańczący z wilkami", indiański wódz pyta głównego bohatera, jak wielu przybędzie białych? "Tylu ile gwiazd na niebie", pada odpowiedź. Na początku był jedynie okręt o miłej dla ucha nazwie "Mayflower", którym do "nowej ziemi" przyплыли pierwsi osadnicy. W przeważającej części byli to bogobojni protestanci bez grosza przy duszy, którym obowiązek nakazywał w pierwszej kolejności postawić kościół a następnie... burdel. Później zaś zaczęło przybywać coraz więcej tych którzy ochoczo korzystali raczej z tego drugiego przybytku. Często byli to bowiem ludzie wyjęci spod prawa, dla których podróż za ocean była jedyną okazją wywinięcia się od stryczka. Czasem się udawało, to znaczy nowy świat był niczym zakład resocjalizacyjny. Trzeba

było wszystko zacząć od podstaw, zbudować dom, znaleźć kawałek ziemi pod uprawę, dogadać się z sąsiadami. Czasem po prostu stawiano szubienicę i wieszano delikwenta mimo wszystko. Pierwsi osadnicy byli jak przysłowiowe dzieci we mgle, kiedy nastąpiła zima, zdołali oni przeżyć jedynie dzięki pomocy... Indian. Niewiele znowu później rząd białych ludzi, wybitnie Indianom za okazaną dobroć "podziękował". Jest doprawdy ironią fakt, że społeczeństwo, które jako pierwsze na świecie stworzyło demokratyczny ład (przynajmniej na piśmie), zbudowało swoje państwo na hekatombie ludzkich ofiar. Oddziały żołnierzy w niebieskich kurtkach bez litości pacyfikowały indiańskie wioski nie oszczędzając przy tym kobiet i dzieci. Taka była bowiem racja stanu, niczym w nazistowskich Niemczech, "zabić, znieść z powierzchni ziemi, co do jednego!" Nie oszczędzono nawet stad bizonów, po prostu wyrzynając je dla zasady, w myśl "A dlaczego nie?" Jeden jedyny raz udało się Indianom odplacić pięknym za nadobne. Nad rzeką "Little Big Horne" indiańscy wojownicy po wodzą "Szalonego Konia" i "Siedzącego Byka", wycięli w pień oddział amerykański pod dowództwem gen. Custer. Podobno ocalał jedynie jeden koń, po stronie czerwonoskórych straty były znikome. Odpowiedzią na to były oczywiście dalsze, jeszcze bardziej bezwzględne pacyfikacje. Mijały lata, stulecia. Ameryka rosła coraz bardziej w siłę a ludziom żyło się dostatnio. Wcześniej biali zdążyli się w sporej liczbie powyżynać między sobą w bodaj najkrwawszej wojnie domowej jaką zaznała ludzka cywilizacja. Potem już było prawie z górki. Pozostał jedynie do dziś dnia pewien moralny kac, który objawia się np tym, że rozmaitym wynalazkom białego człowieka nadaje się indiańskie lub z indiańska brzmiące nazwy. Istnieje więc stan "Dakota", zarówno ta południowa jak i północna, stany "Idaho", "Omaha", na wyposażeniu amerykańskiej armii znajduje się bojowy superśmigłowiec "Apache", oraz rakietowa ziemia - powietrze "Tomahawk". Także słowo "Manhattan" ma jak najbardziej indiańskie korzenie. Te symboliczne zadośćuczynienie to jednak zdecydowanie za mało aby zmazać hańbę przeszłości. Cóż, na prawdziwe wybaczenie win jest już zwyczajnie za późno. Nie było czegoś w rodzaju amerykańskiej Norymbergii. Jak wiemy zwycięzców nikt nigdy nie sędzi. Pozostaje jedynie mieć nadzieję, że gwiazdy na amerykańskim sztandarze nie zostały wystawione jedynie na pokaz. Howgh.

Robert Kinoman

12/07

## PAMIĘTAM - RZECZ O "TAMTYCH" CZASACH

Za oknem zima. Przyroda powitała dzisiejszy dzień otulona w białą, puchatą kołdrę i postanowiła, że poleży nieco dłużej. Ach, pamiętacie zimę stulecia? Te miesiące grudniowe? Zaprawdę, takej zimy jaka bywała za Polski Ludowej już nie będzie. Pamiętam jak dziś, podróż samochodem w tamte mroźne dni. Wzdłuż szosy wznosił się... najprawdziwszy wąwóz ze śniegu, podobny tym jakie napotyka się w bieszczadach. Pamiętam jeszcze coś innego, również jazdę autem. Jedziemy, aż tu nagle, wyrasta przed nami śnieżna ściana, wysoka na jakieś półtora metra, dalej jak okiem sięgnąć, szosy po prostu nie ma, tylko wielka śnieżna poducha. Taka to była zima tamtymi czasy. Moja pierwsza styczność z PRL-em jaką pamiętam, ta w wymiarze by tak rzec politycznym, miała miejsce innego, zimowego dnia, właściwie pewnego grudniowego poranka roku 1981. Pamiętam, że do naszego mieszkania wpadł zaaferowany sąsiad od progu wołając: - "Wy jeszcze śpicie?! Wojna!"

Jeżeli chodzi o moją osobę, to wieś ta, nie zrobiła na mnie większego wrażenia. Pamiętam, że zmartwiło mnie coś innego, to samo co podejrzewam stało się udziałem tysięcy dzieci w moim wieku. Nie było teleranka. Zamiast niego ilekroć włączało się telewizor, w szklanym, czarnobiałym okienku siedział jakiś umundurowany pan i coś mówił, jednak ani ja, ani też moi rodzice nie chcieliśmy go słuchać. To znaczy rodzice na samym początku słuchali, ale potem już nie. Dziwne, ale zupełnie nie pamiętam programu telewizyjnego przygotowanego na Święta Bożego Narodzenia i Sylwestra. Może w ogóle takiego nie było? Tylko ci faceci w mundurach strzelali korkiem z butelki i pili szampana, przepraszam, wino musujące. Jakoś nie pamiętam. Pamiętam za to inne wydania w inne święta, innej daty, już nie 81 ale następnych lat 80-tych. Ach, cóż to były za programy! Czekano się na nie cały rok a kiedy w końcu nadchodziły po prostu nie dało się odejść od

telewizora. To wtedy po raz pierwszy obejrzałem "Szczęki", "Powrót do przeszłości", "Pogromców duchów", "Potop", "Żądło" i jeszcze wiele innych. Za to w wieczór sylwestrowy, pamiętam najprawdziwszą rewię nadawaną prosto z paryskiego Moulin Rouge. Byłem już u progu wieku dojrzwania, więc szczególnie zapadło mi to w pamięć. Gromada pięknych dziewcząt w kolorowych piórach o bajecznie długich nogach i odkrytych piersiach. Tego się nie zapomina. Jakież to było inne od rewiopodobnych programideł które od mniej więcej dekady w każdego Sylwestra serwuje nam pan... A mniejsza z tym jaki pan. Szkoda słów po prostu. Pamiętam wreszcie kino, miało szczególnie uroczą nazwę, nazywało się "Stokrotka". Pamiętam, że lubiłem co miesiąc zbliżać się do znajdującej się na zewnątrz gabloty aby dowiedzieć się jaki jest przewidziany na ten czas program. Pamiętam, że będąc kilka metrów przed gablotą zamykałem oczy, po to aby nie widzieć za wcześniej znajdujących się obok fotosów. Otwierałem oczy dopiero wtedy kiedy niemal dotykałem nosem szyby. Ach, te czarnobiałe fotosy! Jak cudownie zapowiadały pokaz kolorowych kadrów na ekranie, i kronika filmowa. Pamiętacie Polską Kronikę Filmową, wyświetlaną zawsze przed seansem? Taki kilkunastominutowy zapis PRL-owskiej obyczajowości, rodzaj ówczesnego telexpresu. Kiedy pojawiała się końcowa plansza i rozbrzmiewał sygnał, że oto kronika się kończy, wówczas na sali nieodmiennie szedł szmer, podniecenia, oczekiwania na to co miało za chwilę się wydarzyć. Polska Kronika Filmowa to było takie prawdziwe intro przed kinowym seansem.

No a później? Później kino zamknięto. Jak grzyby po deszczu zaczęły wyrastać wypożyczalnie video, w końcu stało się tak, (kto zawinił, nie wiadomo), że zanim dany film miał premierę w kinie, wcześniej zdążył się ukazać na kasecie video. Coraz częściej zdarzało się więc, że przychodząc na seans dowiadywałem się, że się nie odbędzie bo razem ze mną są jeszcze tylko 4 osoby. I kino z czasem przestało istnieć. Nie istnieje po dzień dzisiejszy. Cóż, 99% ludzi pośród których mieszkam traktuje film jak produkt, który się konsumuje, przeżuwa a następnie wydała. Taki filmowy analfabetyzm. Dziś w budynku, w którym niegdyś było kino znajduje się sklep z częściami zamiennymi do maszyn rolniczych. Trudno chyba o gorszy upadek. Ideał sięgnął bruku i odbił się głuchym echem. Pozostały wspomnienia, bardzo miłe wspomnienia, przeżytych filmowych chwil, kiedy nie było jeszcze internetu, komputerów, video, dvd, a każda wyprawa do kina była prawdziwym misterium. Te czasy już chyba bezpowrotnie odeszły, co wcale nie znaczy, że te obecne są złe. Co również nie znaczy, że te minione były najgorsze. PRL wcale nie był taki zły jak go co niektórzy malują. Istniał jednak pewien ład, jasne były reguły gry. Człowiek znał swoje pole po którym miał się poruszać, dziś wcale nie jest pewne czy to co się pierwaj wydaje zalotną ścieżką nie okaże się najeżoną minami drogą do piekła. Wtedy, w tamtych czasach, istniały filmy, istniały książki, istnieli wreszcie bohaterowie, może niekoniecznie ci z socrealistycznych plakatów, ale inni, bardziej prawdziwi. Wszak i tak mamy lepiej niż Rosjanie, którym ŚP. nieśmiertelny Bułat Okudźawa śpiewał: "A jednak mi żal, że nad naszym zwycięstwem niejednym, górują cokoły na których nie stoi już nikt".

Robert Kinoman

13/07

## **MIĘDZY MOHEREM A KAMERĄ 13/07**

### **O TYCH FILMACH - ZZA ZASŁONY MILCZENIA**

Rabi wydaje swoja najmłodszą córkę za mąż. Panienczka ma lat 16, jej wybranek! lat 80.

Dziewczyna więc nie jest z tego powodu zbyt radosna. Przeto płacząc, żali się matce:

-Mame, on jest taki staty, niedołężny...

-Dziecko drogie - odpowiada mama - To jest wada? To jest zaleta! Ty będziesz jedyna pani domu.

Twoje będzie gospodarstwo i cały dobytek.

-Ale mame - kontynuuje córka - on jest taki brzydki, pomarszczony, blady...

-Dziecko, to jest wada! To jest zaleta! Ty nie będziesz musiała być o niego zazdrosna, żadna inna kobieta na niego nie spojrzy, będzie tylko twój!

-Ale mame - nieustępuje córka - On jest prawie ślepy, żeby mnie zobaczyć, musi patrzeć przez szkło powiększające!

-Dziecko! To jest wada? To jest zaleta! Ty będziesz miała święty spokój. Ty będziesz mogła przyprowadzać sobie do domu obce mężczyźne. Będziesz wolna jak królowa!

-Ale mame, jemu tak śmierdzi z ust. Ja nie będę mogła się z nim całować!

-Dziecko drogie! Tyle zalet a ty przez jedną wadę nie chcesz wyjść za mąż?!

Po co opowiedziałem ów szmonces? Ach ta żydowska mądrość! To lubię. Po co? O tym za chwilę. Dość powiedzieć, że cała ta milcząca kurtyna to jedynie moje pobożne życzenie. Tak się bowiem składa (czemu? Nie mam pojęcia), że wszystkie filmy (nazywam to jednak filmami), które z chęcią bym tam umieścił, krytyczny ogół i nie tylko krytyczny wynosi na parnasy filmowej sztuki! O ludeńkowie moi mili! Niekoczekanie! Szykuję się więc do ataku piórem! Chciecie przykładu? Proszę bardzo. Ktoś z was pamięta czeski film (Naprawdę nikt nic nie wie?) pod wszystko mówiącym tytułem: "Miłość blondynki"? (ten kolor włosów tak zwą) Ja niestety pamiętam. Oto pewna blondynka z zapyziałej czeskiej prowincji jedzie do wielkiego miasta a tam poznaje i naturalnie zakochuje się w przystojnym (przystojnym? Nieeee!) kelnerze. No i spędzają ze sobą noc. A następnego ranka leżą sobie (to znaczy tylko ona leży, on siedzi obok łóżka), leżą więc, siedzą i dyskutują o tym co teraz z nimi będzie? I tu następuje scena niczym wyjęta puenta z żydowskiego szmoncesu. Tyle zalet i jedyna wada, to powód aby ów film przekreślać? Cóż, nic na to nie poradzę. Taki już jestem (zimny drań), że u mnie dobry film ażeby był dobrym musi być na tip top, i nie ma tam -tylko jedyna wada. Ja nawet jedynej wadzie nie przepuszczę! Wygląda to więc tak, że ona sobie leży na łóżku i lewe ramię tak sobie przez tułów przełożyła (cholera, boli ją czy jak? Może podczas miłosnych uniesień kochaś - kelner ją gdzieś uderzył i dziewczyna teraz cierpi, nie wiadomo) W każdym razie tak sobie to ramię położyła, że tym samym zasłania obie swoje piersi. Ale to nie koniec! Kochanek - kelner tkwi sobie obok łóżka na podłodze (po jaką cholere na niej się usadowił? To też tajemnica. Kto wie, może z tydzień z tego wyrka nie zląził, w końcu ile można) Siedzi więc sobie na tej podłodze i głowę ma tak ułożoną, że akuratnie czupryna jego zasłania jej dziewicze (dziewicze? Chyba już nie) łono. No i co powiecie? Durna scena, sztuczna, Ach... szkoda słów! Ja wychodzę! Nie dziwię się wcale, że reżyser tego filmowego...? nie wytrzymał i wyemigrował do USA, gdzie tam podpisał się pod wielce udanymi "Lotem nad kukułczym gniazdem" i "Hair", a to jedynie początek jego amerykańskiej kariery. Zaiste w czeskim filmie nikt nic nie wie. Ale w USA też czasem tak się dzieje. Film Hitchcocka Alfreda pt "Psychoza". Pewna młoda pani (też blondynka!) ograbiwszy wcześniej z forsą bank w którym pracowała, wieje teraz autem hej w gdzieś nieznane gdzie gaźnik poniesie. Patrzy! A tu domek samotny na wzgórzu a w domku jeszcze bardziej samotny właściciel. Blondynka, , złodziejka, uciekiniarka, marzy jednak tylko o jednym. Wziąć gorący prysznic i siup do miękiego łóżka (mmm, łóżko), jak chce tak robi, rozbiera się, wchodzi pod natrysk, odkręca wodę. Leci, płynie woda (mmm, oto mi woda... Chciałbym się w niej cały splukać ale mi jej szkoda zbrukać. A to Mickiewicz) Patrzy! A tu zasłona się odsłania i ręka uzbrojona w nóż kuchenny szykuje się do ciosu. Złodziejka, uciekiniarka od razu: "Łaaaaaa!!!! a ręka z nożem "dziab, dziab, dziab i po marzeniach o spaniu w miękkiej pościeli. I znów, niby jedna wada, a ile zalet. Ta atmosfera i w ogóle. Niestety nie dla mnie. Zboczeniec który zadaje cios z góry do dołu? Przecież wystarczy wtedy przyblokować a nogą kopnąć tam gdzie mężczyznę boli najbardziej i po ptakach. Ale nie u pana Hitchcocka. Nie u amerykańskich cenzorów doby idioty McCarthy'ego. Krew płynie, brukając ciepłą, czystą wodę - to przejdzie, ale żeby kobiecy sutek albo cała pierś? Przenigdy! I znów, co ja robie? Ja wychodzę! Na koniec coś z naszego podwórka. Filmowopodobne...? pt: "Plac Zbawiciela" Byłem, widziałem, niczego sobie - plac nie film, chociaż film też widziałem, niestety) Recz o małżeńskim kryzysie i trójce dzieci plus teściowa - cholera i jak to w polskim dramacie nie mogło przecież obejść się bez "Spierda....aj gnoju!!!! Albo "Spierd...aj chu...u! itp. Wiadomo, jak Polacy cierpią to zawsze muszą przy tym gęsto rzucać mięchem, przynajmniej w polskim filmie. Co ja robie? Ja proszę państwa wychodzę. No i to by było wsio na dziś. Chcielibyście więcej przykładów tego typu? Cóż, pewnie by się znalazły. Ja jednak czy wam to się podoba czy nie, spuszczać na nie zasłonę milczenia.

Robert Kinoman

**SIEDEM FILMOWYCH GRZECHÓW GŁÓWNYCH ("RZECZ MA SIĘ TAK...")**

Czy film rzeczywiście powinien wiernie naśladować rzeczywistość? Cóż, cytując film "Rejs" - (ostanio jakoś często się go cytuje, więc zacytuję i ja) - podoba nam się najbardziej to, co już znamy. Wszak język kina a język życia (uch, jak to pompatycznie zabrzmiało!) to dwie różne parafie. Nie zawsze bowiem sytuacja, która wygląda świetnie w życiu, równie świetnie prezentuje się na ekranie. Życie pozwala na to aby być banalnym, tym wręcz się ono karmi. Banał w kinie to coś strasznego, coś czego powinien się wystrzegać każdy filmowiec. Rzecz cała bowiem tkwi w tym aby w filmie opowiadać o banałach w sposób NIEBANALNY. Tak potrafił Bergman, Fellini. Tak potrafić chcieli by inni. Ci dwaj we wszystkich swoich filmach, (No, Bergman może niekoniecznie we wszystkich) bronili się jak mogli przed jedną rzeczą. Mianowicie grzechem zaniechania. Kino to nie życie, to prawda. Kino jednak tworzą ludzie, ludzie, którzy żyją w określonej przed dany film kulturze, tak więc chcąc niechcąc filmowa historia niejako tą kulturę portretuje. Film jest jak gdyby takim stępem informującym o czasie, miejscu i ludzkich zwyczajach w tym miejscu panujących. Zdarza się jednak, że niektórzy filmowi twórcy (tych jest niestety większość) tworzą swój własny stępel, wykreowują filmową rzeczywistość, która potrafi mieć tyle wspólnego chociażby z ludzkimi emocjami, że prezentująca się na ekranie osoba - niewątpliwie ludzka - jest ludzką tylko dlatego, że posiada ludzką głowę, ludzkie ręce, ludzkie nogi, itd. Nic poza tym, aha, no i jeszcze mówi jakoby ludzkim językiem. Te własne, filmowe, nie mające najmniejszego odbicia w rzeczywistości "stęple" do tego stopnia potrafiły się wryć w filmową narrację, że niemal nie sposób już bez nich się obejść. To właśnie nazywam grzechami zaniechania, zaniechania czegoś co co by uczyniło dany film po prostu realnym. Spośród tych głównych, najczęściej popełnianych, filmowych grzechów wskazałbym siedem (liczba jak najbardziej zamierzona), wybór jest rzecz jasna jak najbardziej subiektywny i można się z nim nie zgadzać, ja wszak uważam, że jest coś na rzeczy. A więc oto: siedem, filmowych, grzechów głównych" - moim Roberta Kinomana subiektywnym zdaniem.

1)"Żołnierska pobudka" - Bohaterowi filmu (najczęściej głównemu) coś się śni. Koszmary, wspomnienia z przeszłości, wizje przyszłości etc.) Budzi się on (najczęściej z krzykiem), zrywając się z łóżka z pozycji leżącej ku pozycji siedzącej i zaczyna ciężko dyszeć. Wymysł czysto idiotycznie - filmowy, nie mający żadnego pokrycia w rzeczywistości. Co ciekawe, nie ustrzegł się go nawet ktoś taki jak Quentin Tarantino - vide jego "Pulp Fiction" i Bruce Willis jako bokser o gównie znaczącym imieniu Butch. No ale na obronę Tarantino może świadczyć to, że cała historia prezentowana w filmie wywodzi się (co jasno sugeruje tytuł) z tanich, brukowych, tandetnych książczydeł. A jednak jest film, który wspaniale z tą nieszczęsną tradycją zrywania się z łóżka, nomen omen - zrywa. To wart wymienienia we wszelkich filmowych leksykonach film pt: "Krucjata Bourne'a" w roli głównej Matt Damon. Ach, jakże podoba mi się ten cudowny film w reżyserii Paula Greengrassa. Rzecz ma się tak, że tytułowemu bohaterowi śnią się pewne wspomnienia, po czym on w pewnym momencie, po prostu.... otwiera oczy. To wszystko. Wspaniały przykład prawdziwie fachowej, filmowej roboty, tak trzymać!

2)"Zombie" - Przykład niemal równie stary jak pewien gatunek filmów sensacyjnych (rzecz cała w wielkim skrócie, zabili go i uciekł), jednak denerwujący okropnie (nie ma bowiem nic bardziej gorszego niż przewidzieć dalszy ciąg pierwszy raz oglądanego filmu) Główni bohaterowie (przeważnie "dobry" i "zły") biją się. "Zły" obrywa, że hej, "zostaje położony na deski", nie rusza się, nie odycha. Teraz następuje nieodzowna scena liryczna. "Dobry" bierze w swe ramiona wybrankę serca (która wcześniej oczywiście kibicowała mu w starciu ze "złym") i oboje szczęśliwi tulą się albo całują. Gdy wtem, obowiązkowo gdzieś za nimi w głębi kadru, "zły" wstaje jak nowo narodzony i na dodatek w pełni sił witalnych i rusza na "dobrego". Ten opuszcza na moment ukochaną i raz jeszcze spuszcza nowo narodzonemu "złemu" tęgi łomot. "Zły raz jeszcze "pada na deski", tym razem ostatecznie i nieodwołalnie. Na koniec "dobry" razem ze swoją "dobrą" raz

jeszcze rzucają się w ramiona, tuląc się albo całując. Koniec. Komentarz? Bez komentarzy.

3)"Wiem, że jesteś idiotą". Coś co ostatnio stało się super modne wśród rodzimych telewizyjnych seriali, że o tytułach nie wspomnę. Sporo filmów jednak też sobie z tym wcale nieźle radzi. Wygląda to tak, że coś się wydarzyło. Np głównego bohatera pracującego w sklepie z tytoniem odwiedza z dawna nie widziana eks miłość. Oboje sobie romawiają (na razie jest normalnie, to znaczy realistycznie) lecz nie na długo, w końcu on albo ona, wszystko jedno, mówi mniej więcej tak: "Bylibyśmy dalej razem, gdybyś wtedy 8 marca 13 lat temu nie zadzwoniła pod 997 i nie powiadomiła policji, że tą forszę, którą mieliśmy się podzielić trzymam w swych brudnych skarpetkach, które leżą w koszu na bieliznę a ten kosz znajduje się u sąsiada po drugiej stronie ulicy w mieszkaniu o numerze 102, między strychem a łazienką". Jest przecież rzeczą oczywistą, że gdy ona przychodzi do niego po 13 latach, to zarówno on jak i ona doskonale wiedzą co było przyczyną ich 13-letniego rozstania, gdyby zaś nie wiedzieli, to scena powinna się raczej zacząć od "Dlaczego mnie wtedy do cholery zostawiłeś?" A jeśli się od tego nie zaczęła, to jasne, że powód rozstania jest obojgu znany. Problem tylko w tym, że wprawdzie bohaterowie powód ów zają, natomiast nie znają go widzowie, trzeba więc im go unaocznic, najlepiej zaś zrobić to w taki nedorzeczny, infantylny i kretyński sposób jak powyżej. Najgorsze, że coś podobnego znalazło się w skądinąd świetnym filmie pt: "Dym" reż. Wayne Wang. Jakby rzeczywiście nie można tego było zrobić inaczej.

4)"Płonące szczapy" - Co prawda, rzecz ma się tutaj nieco inaczej, ale i tak czas jest po temu aby z tego zrezygnować; nie w każdym filmie tak się dzieje i nie są to bynajmniej komedie. Mowa, rzecz jasna jak płonąca szczapa o kominku, na który "zbacza" kamera, kiedy on i ona leżą (bywa, że na podłodze, obok kominka) spleceni w miłosnym uniesieniu. Aby więc widzów nie gorszyć, pokazuje im się kominek. I znów, coż dodać więcej? Ano nic.

5)"Kulą w płot" - Ach, tego typu występów człowieku nie zliczysz. Pojawiają się niemal w co drugim filmie kryminalnym i to także w tych co mają niejaki ambicje powalczyć o "Oscara" albo coś. Oto jakiś "zbrodzień" czyli zły przystawia czystej jak wiosenny poranek kobiecie (często jest to dziewczica) lufę pistoletu do skroni, mówiąc, że zaraz ją (dziewicę) zabije. Zły mówi oczywiście do dobrego, który stoi jakieś kilka metrów od dziewczicy i złego i w milczeniu oraz z bronią w garści przypatruje się cóż ten zły i dziewczica wyprawiają? Zły nieodmiennie w takiej sytuacji głośno woła do dobrego, aby ten rzucił broń. I niemal w 99% wypadków, dobry mimo, że ma złego na muszce jak się patrzy, broń tę opuszcza. Zły jest już wtedy pewien, że wygrał a wtedy najczęściej do akcji przyłącza się ktoś trzeci np kolega -kominiarz, który akurat przechodził z dachu na dach,zobaczył co się dzieje, wyjął czym prędzej z komina pozostawioną tam wcześniej snajperkę, wycelował i złego odstrzelił. Na szczęście są jeszcze filmy, które proponują coś zgoła zupełnie innego przez to prawdziwego, aż ręce same składają się do oklasków. Myślę tu o filmie "Nietyklani" reż. Brian de Palma.

Tam rzecz ma się podobnie. Jest dwóch dobrych, jeden zły i jeden... można powiedzieć już nie zły ale jeszcze nie dobry, taki pół na pół a konkretnie księgowy mafii rządzącej Chciago, księgowy samego Ala Capone, którego dwóch dobrych chce wsadzić za kratki. I tam też zły przystawia księgowemu lufę do skroni i namawia jednego z dobrych aby pozbył się broni. Tamten jednak nie opuszcza wycelowanej ku złemu lufy. Jeszcze chwila i... pada strzał. Złemu mimo, że cały czas trzymał "gnata" przy skroni swej niedosłej ofiary, wyrasta pośrodku czoła krwawa "różyczka", oczywiście, nie miał szans nacisnąć spustu. Wie o tym doskonale chyba każdy w miarę dobrze wyszkolony policjant a i konsultantowi na planie wiedza owa nie powinna być obca. Praktyka dowodzi jednak, że bywa wręcz przeciwnie. Dobrze jednak, że są takie filmy jak "Nietykalni" de Palmy. Prima kino!

5)"Ja ciebia lublju kak swoju maszynu".

Raz jeszcze można by powiedzieć temat miłosny. Ona i on, albo on i ona, albo jeszcze co ostatnio jest całkiem modne on i on. Na początku nie lubią się bardzo, warczą na siebie, dogryzają sobie ile tylko mogą by gdzieś w połowie filmu zapalać ku sobie bezdenną chucią! Zaiste, miłość bywa ślepa. Fakt, nie powiem, w życiu coś podobnego również zdarzyć się może a pewnie i się zdarza, lecz zapytuję się grzecznie ile można??? (w przypadku filmu)

6)"Kur...a, umieram!!!" W 99,9% przypadków życie kończy się śmiercią, tak więc niech mi będzie

wolno zakończyć moją listę 7 filmowych grzechów głównych "śmiertelnym" przykładem. Temat, tak się szczęśliwie składa dosyć często wykpiwany przy okazji różnych, "pysznych" parodii, vide "Strzelając śmiechem", "Naga broń" etc. A więc umieranie. Główny bohater umiera i zanim umrze wygłosi niezgorszy "speech" w którym wspomni babcię, dziadka, wujka, teściową itd, powoła się przy tym na szeroką, życiową wiedzę z racji przeżytych lat. Jak nic kładzie się tutaj casus Sokratesa, z tym, że on faktycznie mógł jeszcze to i owo wygłosić, wszak cykuta to nie cyjanek i nie zabijała natychmiast. No ale kula wystrzelona z pistoletu a nawet kilka kul i to kul wystrzelonych w brzuch? A tak ma się zazwyczaj z w/w śmiertelnie rannym gadułą. Kiedy już wypowie się do końca, wtedy wreszcie umiera. Przypomina mi się w tym momencie świetna scena ze Shreka 3 - śmierć króla żaby. Przesympatyczne i prześmieszne. Ok, więcej grzechów póki co nie pamiętam. Pora zaparzyć sobie filiżankę niebanalnej herbaty.

Ps. Grzech nr 7 zasługuje na osobne potraktowanie, zdala od pozostałych, by tak rzec: "grzechów formalnych".

7)"Oglądam więc wcinam" - Apeluje więc: Ludzie, je jedzta podczas kinowych seansów popcornu!!!.

Robert Kinoman

15/07

## **MIĘDZY MOHEREM A KAMERĄ 15/07**

### FILMOŚWIĘTA czyli WSZYSTKO TO CO JUŻ BYŁO

Okazuje się, że prędeż można przyzwyczać się do grudniowych Świąt bez śniegu, niż do w/w bez filmu "Szklana pułapka". Film ten a właściwie cykl o przygodach dzielnego gliny, uchodzi póki co w naszym kraju za swego rodzaju kuriozum z racji tłumaczonego na polski jego tytułu. Oryginalny "Die Hard" co można było przetłumaczyć całkiem zręcznie np na "Trudnego do zabicia", został zastąpiony ową "pułapką ze szkła". Najgłupsze w tym jest to, że kolejne odsłony: film nr 2, nr 3 a ostatnio nawet nr 4 (oby ostatni), za cholerę nie miały nic wspólnego z czymś szklanym i niebezpiecznym, chyba, że za takowe uznać całe miasto Nowy Jork (Ale jaka to pułapka) W końcu ci co w tym mieście mieszkają, w każdej chwili mogą z niego wyjechać gdzie im się podoba. Tak więc pułapek brak, niefortunny tytuł pozostał. Ciekaw jestem czy gdziekolwiek istnieje film dla którego wymyślono by bardziej nieprzystający do treści tytuł. Prawdę mówiąc ze wszystkich numerów "pułapek" najbardziej... a właściwie nie, nie najbardziej - zwyczajnie, mogę obejrzeć nr 3. Naprawdę dobry scenariusz, świetne dialogi (pamiętacie te zagadki jakie podrzuca głównym bohaterom zły Jeremy Irons?) To się ogląda, albo samochodowy rajd przez Central Park. Pierwszej szklanej... nie trawię. Narcyzm Bruce'a Willis'a jest dla mnie w tym filmie nie do zniesienia. "Boże mój, jaki jestem dzielny i wspaniały!!!"

I tak przez 90 minut. Od początku kibicowałem terrorystom i żałowałem, że im się nie udało (choć mogli załatwić tylko McLeana czy jak on tam się nazywa. Część druga była tak samo narcystyczna jak pierwsza, "trójka" jak już wspomniałem zdecydowanie okazała się najlepsza. Bruce nabrał trochę pokory i dało się już to wszystko przełknąć bez bólu, no i na dodatek jak zawsze w świetnej formie S.L. Jackson. W święta niestety obejrzymy,( to znaczy ja nie mam zamiaru) "Die Hard" numer 1. Co jeszcze? "Sami swoi" naturalnie, czyżby "Potop" również? Kto wie, kto wie, może gdzieś na jakimś kanale wyskoczy z Mikołajowego worka. "Kewin sam w domu" Strach patrzeć co z niego (aktora grającego Kevina) wyrosło. Kto nie widział, niech nie patrzy. I tak powtarza się ten świąteczny telewizyjny repertuar od niemal dekady. A przecież kiedyś "za poprzedniego reżimu" było inaczej, czekało się na te Święta i dla Boga i dla wigilijnego stołu, na opłatek, na choinkę, na prezenty, no i w końcu na seanse w TV, których wcześniej raczej nie było. Lecz jak mawiają nasi czescy bracia "To se ne wrati pane Havranek". A nóż widelec kiedyś wróci? Będzie to jedno z moich licznych życzeń w momencie gdy zapłonie pierwsza gwiazdka. Tymczasem życzę wszystkim odwiedzającym naszą stronę, ale nie tylko im, WESOŁYCH,

SPOKOJNYCH, RADOSNYCH ŚWIĄT i NAJWSPANIALSZEGO NOWEGO ROKU. OBYŚMY TYLKO ZDROWI BYLI. Reszta sama przyjdzie. A zatem do zobaczenia w przyszłym roku.  
Robert Kinoman